Rozmaitości

Dnia 27. Sierpnia Nr 35. 1836 Roku.

POŻAR
W KONSTANTYNOPOLU.

Jadąc gościńcem z Bujukdere, w towarzystwie Turka, który mi za przewodnika służył, ujrzałem łunę płomieni, które o milę, przed nami wybuchnęły z kłębami dymu. Byłto właśnie początek pożaru. Płomienie, jak końskie grzywy, rozdymały się wichrem z ponurych domów. Pospieszyłem czém prędzéj w tę stronę, dla przypatrzenia się czynności zapobiegliwéj tureckiéj policyi, która w podobnych razach całą swoją sprężystość rozwijać zwykła. Tém bardziéj, gdy nieukontentowanie mieszkańców Konstantynopola, i ruch w umysłach z powodu niepomyślnéj wojny w Egipcie, obudzały podejrzenie, jakoby z politycznych powodów miał ten pożar wybuchnąć, i że krwawe sceny gotują się pod kłębami dymu. Zjęty ciekawością, chciałem z blizka być świadkiem wszystkiego; to przekonało mię, że ciekawość najprędzéj zapominać każe o niebezpieczeństwie; na wszelki téż przypadek, gdyby Turkom przyszła chętka ucinać sobie głowy, mogłem z daleka i na górze być widzem téj rzezi, nie dzieląc niebezpieczeństw onéj. Łuna płomieni to znikała mi z przed oczu, to pokazywała się z ponowioną siłą, podług tego, jak moja droga, wijąca się w labiryncie pagórków, to spuszczała się w nizinę to wspinała na górę. Po dwóch godzinach jazdy minąłem płaszczyznę *Słodkiéj wody* i zwaliska zamku *Wlacher*, i przez *Egri-kapissi* dotarłem do miejsca pożaru, który się już był podsunął pod ogromny meczet, znany pod nazwą: *Meczetu zdobywcy* (Muhameda II.). Na dziedzińcu meczetu stał stary seraskier Chosrew-pasza, otoczony gronem ministrów, piérwszych osób państwa, i licznym orszakiem oficérów; wszystko krzątało się pilnie. Rozebrano kilka domów, chcąc wstrzymać dalszy postęp ognia. Ale najbliżéj leżąca ulica paliła się już po obu pirzejach; rozbujany żywioł, jak wezbrana rzéka, rozlał się na wszystkie strony, tak dalece, że nawet najśmielsi *tulumbadzisowie* (urzędnicy ogniowi) nie odważali się do gaszenia przystąpić. Już prawie przeszło 500 domów stało się pastwą płomieni, a drugie tyle zajmowało się na nowo; cała dzielnica podobną była do stosu drzew z trzech stron podpalonego. Tamto oczy moje patrzały na sceny, które całemu obrazowi tém większéj dodawały grozy. Przed seraskiera przyprowadzono 3ch ludzi, schwytanych jako podpalaczy. Czyto oni piérwsi wzniecili pożar, czyteż korzystając ze wznieconego, mieli zamiar podkładaniem ognia na innych miejscach rozszérzyć takowy, aż do środka miasta, tego żadną miarą dowiedzieć się nie mogłem z krótkiego śledztwa, jakie seraskier z nimi odbył. Znaleziono przy nich żagwie (palne materyje) i pakiety z luntami, jakich używają zwykle podpalacze tureccy, rzucając takowe do niezamieszkałych budynków, zkąd najczęściéj ogień się wszczyna. Ze skrępowanémi rękami i nogami leżeli przed seraskierem na ziemi, błagając głosem rozpaczy i uniewinnienia o łaskę dla siebie. Znajomy mój, turecki oficér, zbliżył się do mnie i zapytał: czyli wiém, jaki ich koniec czeka? »Łatwo odgadnąć,« rzekłem, widziawszy krew zimną seraskiera, i sposób w jakim tę rzecz przyjmował. »Znanaż jest wćpanu ich zbrodnia?« — »Zapewne musieli ogień podkładać.« — »Zdaje się, lecz« tu szepnął mi do ucha, »czasami potrzeba dwóch lub trzech niewinnych niewolników wrzucić w płomienie,

aby prawdziwych podpałaczy trwogą nabawić i zamknąć usta tym mieszkańcom, których domy stały się pastwą pożaru. O! nasz seraskier-pasza roztropnyto człowiek!« Podobne rysy sprawiedliwości tureckiéj często obijały się o moje uszy; a seraskier tylekroć razy miał już sposobność dać dowody wygórowanéj przebiegłości swego administracyjnego talentu, żem zadrżał na tę myśl samą, że narzędzia jego polityki najniewinniéjszymi mogły być ofiarami. Tymczasem na wszystkie strony wysłał seraskier adjutantów z poleceniami, a postrzegłszy, że tłumy ludu coraz więcéj zbierały się koło niego, rozkazał siepaczom swoim rozpędzać lud kijmi, a na wszelki przypadek ściągnąć dwa batalijony regularnego wojska. Potém, niby dając jękom oskarżonych powolne ucho, skinął, aby im obnażono ręce, dla przekonania się, czyli na ramionach nie mieli znaków jańczarskiéj *orty*. U dwóch znaleziono to nieszczęśliwe znamię. Seraskier żartował sobie z nich do woli, dodając: »Zapewne odkąd wam *oczaku* nie stało, tak ostygliście w odwadze, że teraz choć w upały chcecie się zagrzać przy pożarze.« Nielitościwy ten przycinek seraskiera na tém się zasadzał, że *oczak* po turecku znaczy: ognisko lub komin, a oraz, że tém mianem oznaczali jańczarowie swój związek. Dzieci Chadzi-Bektaszy poznali teraz, że ich los już się roztrzygnął. Nieszczęście wlało w nich dumę i tęgość charakteru starych jańczarów. Miasto jęków i narzekań wyzionęli przekleństwa na seraskiera i sułtana, wzywając z fanatycznym zapałem imienia *Allaha* i proroka. »W ogień z nimi!« krzyknął Chosrew, i natychmiast nieszczęśliwi ci, związani razem, zawleczeni zostali do gorejącego domu w pobliżu, gdzie ich wrzucono w płomienie. Ostatnie ich jęki pośród trzasku walących się budynków, szumu płomieni i wichru, nie doleciały więcéj naszego ucha. Trzeciego kazał seraskier zaprowadzić do więzienia, gdzie torturami miano wycisnąć na nim nazwiska innych podpalaczy. Jak wiadomo, w Konstantynoplu odkrywają częstokroć całe szajki podobnego rodzaju złoczyńców, którzy służą za narzędzie do okazania nieukontentowania ludu, lub jakiegobądź stronnictwa, a których fanatyzm wszelkie przechodzi wyobrażenie. Zdarzały się przykłady, że wielu z nich, ścigani będąc przez zbirów policyjnych, sami się we wzniecony przez siebie ogień rzucali. Wykrywano nie raz i inne jeszcze niegodziwości: ludzie, przeznaczeni do gaszenia, bywają niekiedy członkami sprzysiężenia, a wtedy, jak mię zapewniano, ostatni ci zamiast wody, używają do sikawek oleju lub innych palnych materyi. Przypadek ten zdarza się najczęściéj, jeżeli ogień ma być tłumaczem niemego nieukontentowania z rządu, z ministrów lub z wewnętrznéj i zewnętrznéj polityki dywanu. Podczas wyprawy Napoleona do Egiptu, gdy Selim nie chciał Francyi wypowiedziéć wojny, przez trzy noce ciągiem wielki pożar wybuchał w Konstantynopolu. Lud się obawiał, aby święte miasta Mekka i Medyna nie wpadły w ręce niewiernych, i niechętny był Selimowi, który nie ciągnął w obronie grobu proroka. Wtedyto pewna niewiasta z najniższéj klasy ludu, po drugim pożarze, spotkawszy Selima, i poznawszy go mimo że był przebrany, zawołała doń: »Naco czekasz Padyszachu, czemu nie każeszto *giaurów* mordować, cheszli, abyśmy popalili się wszyscy?« To otworzyło Selimowi oczy i wyjaśniło przyczynę pożaru, któréj podli dworacy odkryć mu nie śmieli. Nazajutrz wielki wezyr Jezet Mehmed pasza, który nie chciał wojny przeciw Francyi, a tém samém przymierza z Angliją, został zrzucony z urzędu, a z nim i mufty, który również nie przystawał na wypowiedzenie téj wojny; albowiem podług ustaw mohametańskich, ani wojna wypowiadaną, ani pokój zawierany z niewiernymi być nie powinien. Obrano zatém innego muftego, pod tym warunkiem, że Francuzów ogłosi za nieprzyjaciół Islamizmu; i od téjto chwili Selim użył stanowczych przeciw Francyi kroków. Pełnomocnika jéj, republikanina Ruffin, wtrącono do *Siedmiu wież*, i więcéj niż 1000 w Pera mieszkających Francuzów zamknięto na lat 4 w admiralicyi i w twierdzach Bosforu, co wszystko stało się w skutek pożarów i przez śmiałość jednéj tureckiéj niewiasty.

Upadkowi Selima, wyniesieniu na tron Mahmuda, zniszczeniu jańczarów; słowem, wszystkim wielkim wypadkom w Turcyi zawsze towarzyszyły pożary, niby ognie sztuczne w dniach uroczystych; tak, że chronologija konstantynopolskich pożarów mogłaby posłużyć za skazówkę w politycznéj historyi Państwa Ottomańskiego, i za termometr ducha

ludu podczas każdego panowania. W dzisiejszych nieporozumieniach sułtana z paszą Egiptu, i w chwilach, kiedy zachwiana potęga pierwszego, za pośrednictwem chrześcijańskich mocarstw utrzymaną została, biédnym mieszkańcom stolicy wyprawiano jedne po drugich iluminacyje. Pożar, na który teraz patrzałem, był pierwszym ze cztérech ogniów, które w przeciągu 1833 roku więcéj niż 20,000 domów obróciły w perzynę.

Kilka chwil jeszcze miałem pociechy patrzéć na zimną krew seraskiera, z jaką wydawał rozkazy po spaleniu jańczarów, poczém wzięła mię ciekawość udać się ku innéj stronie, gdzie szérokość ulic z najpomyślniéjszym skutkiem dozwalała działać sikawkom. Domy wypróżniły się, rodziny pouciekały do innych dzielnic miasta, a Turczynki, korzystając z téj sposobności, porzucały swoje *haremy* w rannem negliżu, lekko obrzuciwszy się płaszcem, i bez zasłony na twarzy. Niech kto nie myśli, aby pośród tego zamieszania okazywał się jaki rodzaj trwogi, lub rozlegały się jęki rozpaczy. Więcéj tam było wesołych, niż scen okropnych, i wszystko przekonywało, że widok pożaru dla Turczynek był rzeczą wcale nie nadzwyczajną. Zdaje mi się nawet, że większa część onych cieszyła się tą kilkodniową swobodą, trwającą zwykle, pokąd ich mężowie nie obmyślą im nowych mieszkań, czyli nowych więzień. Przepomniałem nadmienić, że w Konstantynopolu rzadko kiedy można majątek stracić przez pożary; wszyscy bowiem mieszkańcy tego miasta posiadają nadzwyczajne doświadczenie, i umieją z całą muzułmańską krwią zimną, mienie swoje ratować. Dla tego też Turcy w domach swoich żyją jakby w podróży; prócz sof, sprzętów nie używają żadnych; suknie utrzymują zwykle w lekkich skórzanych tłumoczkach, podobnych do juków; naczynia stołowe, rozliczne drobiazgi, książki, obrazy, źwierciadła, słowem, cały kram, którym Europejczyk zastawia swoje mieszkanie... są rzeczmi bez jakich Turek się obchodzi. Widziałem bardzo znakomitych *efendych*, którzy z dwoma cybuchami w ręku i kapczukiem u pasa szli za tragarzem, niosącym na grzbiecie cały dobytek *efendego*, zacząwszy od galowego turbana, aż do staréj jego poduszki. W blizkości poważnego orszaku *efendych*, Turczynek i tragarzy, postrzegłem grupę, złożoną z kilku starych Osmanów i z niższych urzędników straży ogniowéj; żywa, lubo stłumionym głosem toczyła się między nimi rozmowa, niekiedy gniéw wybuchał, niekiedy nastawała milcząca obojętność, skupiano się, rozprawiano i patrzano na ogień, niespokojnym, boleśnym wzrokiem. Zbliżyłem się do nich i osobliwszą usłyszałem rozmowę: Bylito właściciele domów, którzy na wszystko zaklinali owych urzędników, aby nieśli pomoc ich domom, zaco ofiarowali im hojną nagrodę. Jeden z *tułumbadzych*, poprawiwszy swoją osmoloną brodę, odpowiedział z ormiańską flegmą: »Niepodobna!...« Teraz przystąpiono do traktowania. Turcy, po kilku słówkach między sobą, ofiarowali komendzie 40 kies, czyli 20,000 piastrów, a *tułumbadzy* powtórzył swoje: »Niepodobna!« Żałowałem, żem nie mógł przypatrzyć się lepiéj wszystkim ruchom téj giełdy ogniowéj; położenie właścicieli domów obchodziło mię z blizka. Wszystko załatwionem zostało gotowémi pieniędzmi; w podobnych razach kredyt miejsca miéć nie może; o ile sądzić mógłem, żądania komendy tém więcéj szły w górę, im więcéj zbliżały się płomienie do domów onych właścicieli; przyczém poznać było wyraźnie, jak ludzie do sikawek użyci instynktownie pojmowali stan układów swoich towarzyszy i bardzo leniwo gasili pożar. W końcu, kiedy już płomienie zaczęły się czepiać po dachach domów, właściciele onych uczuli konieczność odpowiedzieć wymaganiom *tułumbadzych*, kiesy zostały przyniesione, pełnémi garściami wytrzęśnięto z worków pieniądze, i ugoda stanęła. Teraz wszystko inny przybrało kierunek; straż ogniowa w oczach moich dokazywała cudów zręczności. Pięciu czy sześciu rzuciło się z bosakami i siekiérami na ostatni dom, który się zajął, gdy tymczasem drudzy z nich przybieżeli z sikawkami i dostarczali wody; inni znowu zajęli się zszywaniem mnóstwa starych kobierców, z których utworzyli wielką kotarę, czyli zasłonę. W kilku minutach został dom rozerwany, a całą masę wody obrócono na miejsce rozebranego budynku. Kotara z kobiercami zasłaniała cały bok sąsiedniego domu, który w skutek gorąca zaczął się już pękać. Natychmiast część sikawek skierowano na kotarę, którą nieustannie zléwano, resztę zaś wymierzono na płonące części.

Wysoko w powietrzu spotkały się płomienie z wodą, i w jedną stronę pędem wichru uniesione, wyprawiły walkę, stawiającą obraz fantastyczny, który przypominał smoki i potwory w oryjentalnych powieściach.

Prawie całe ćwierć godziny trwały niezmordowane usiłowania *tułumbadzych*, pokąd nie stali się panami rozhukanego żywiołu, i nie przeszkodzili jego szérzeniu się ku stronie najwięcéj zagrożonéj przez ciąg wiatru. Kiedy już zawaliły się szczątki ścian dogorywających budynków, otworzyła się oczom naszym wielka przestrzeń, kędy jeszcze tylko pod gruzami dotléwały belki domów. Sikawki prawie całą godzinę pracowały z natężeniem, zalewając całą przestrzeń, a tém samém zapobiegając szérzeniu się pożaru, któryby za najpiérwszym wiatrem poblizkie domy ogarnął. W ogóle, przez trzy godziny trwającego ognia, nawet bez wielkiego wiatru, zgorzało około 1,200 budynków, tak, że wyjąwszy nie wielkie kupki gruzów kamiennych, z całéj dzielnicy nie zostały tylko popioły.

JAN ŚNIADECKI,

W LATACH 1778—1781. AUTOBIJOGRAFIJA.

(Z Wizerunków i rozstrząsań naukowych; części dziesiątéj, 1835 r.)*

Kołłontaj, zajęty urządzeniem szkół niższych, otworzył dom swój dla wszystkich, trudniących się naukami w Krakowie. Między tymi, którzy się u niego zgromadzali, umiał trafnie poznawać zdatniéjszych i przywiązanych do nauki, i z nich wybiérać sobie nauczycieli do gimnazyjum. Jan Śniadecki należał razem z wielu innymi do owych zgromadzeń, tam był poznany i ceniony od Kołłontaja, i tam się dowiedział, że reforma szkół nowodworskich była tylko początkiem i niejako hasłem przyszłego odnowienia akademii krakowskiéj, a razem wzniesienia zgrzybiałéj instrukcyi w całym kraju polskim. Skoro się więc zapewnił o mającéj nastąpić reformie, zrobił natychmiast postanowienie usposobić się za granicą na profesora matematyki, w uniwersytecie. Ułożony zamiar nie długo czekał na wykonanie; szło tylko o zebranie dostatecznego zapasu na koszta podróży. Dobre rządzenie się i rozsądna oszczędność bardzo jeszcze młodego Śniadeckiego, przyniosła mu z własnych dochodów nie mały fundusz, ale ten znacznie powiększony został szczególną przyjaźnią księdza Żołędziowskiego, rektora ówczesnéj akademii, wielbiącego szlachetny zapał do nauk w młodzieńcu. To wszystko razem zebrane postawiło go w możności odbycia podróży i zabawienia za granicą więcéj roku. Wyjechał zatém w miesiącu wrześniu 1778 r. z Krakowa, naprzód do Lipska, gdzie obejrzawszy zakłady naukowe, udał się prosto do Gettyngi, wioząc z sobą listy polecające od książęcia Poniatowskiego, biskupa naówczas płockiego i prezydującego w komisyi edukacyjnéj, do przedniejszych uczonych niemieckich.

Nie mógłbym lepiéj i dokładniéj opisać całego pobytu Jana Śniadeckiego w Gettyndze, nad to, co on sam zostawił w swoich notach. Kładę więc jego własne wyrazy:

»Rozumiałem, że nauki w Gettyndze dają się po łacinie. Co to był za wielki dla mnie zawód i zmartwienie, kiedym znalazł wszystkie tam nauki tłumaczone w języku niemieckim, którego m całe nie umiał! Chciałem ztamtąd udać się do Wiédnia; ale rozważywszy, że stracę wiele czasu i pieniędzy na przejażdżkę, postanowiłem zostać się i uczyć języka. Wziąłem metra i przy wielkiéj usilności we trzy miesiące byłem zdolny rozumiéć książki niemieckie i mówiących, a poźniéj przyszedłem do tego, że wszystko, com czytał i słyszał na lekcyjach, opisałem sobie w języku niemieckim i znaczne pęki niemieckich uwag i wypisów tam sobie sporządziłem. Wszystkie lekcyje opłacają się w Niemczech przez studentów, co stanowi znaczną część dochodu profesorów, i dla tego takie tylko obiérają do wykładania nauki, które licznych miéć mogą słuchaczów. Bardzo mało ich mają matematyczne wyższe. Zkąd drugi był dla mnie zawód i zmartwienie, żem znalazł kurs matematyki kończący się na geometryi początkowéj, arytmetyce i na początkowéj algebrze, których ja nie potrzebowałem.*) W głębszych częściach matematyki trzeba było brać lekcyje samemu *privatissime*, jak tam nazywają, i płacić je drogo. Abraham Kästner, znakomity tam podówczas matematyk, ofiarował mi swoję pomoc w lekcyjach dla mnie

*) Artykuł ten jest po większéj części wyjątkiem z rękopismu »Pamiętników o Janie Śniadeckim,« przygotowanych już do druku, w układzie których stanowi rozdział drugi. Winni go jesteśmy P. Michałowi Balińskiemu, którego wiadomość o Janie Potockim (ob: Rozm. Nr 33. 1835 r.) z powszechném upodobaniem przyjęta była. Interesujący ten pisarz, oprócz Pamiętników o Śniadeckim, ukończył już i przygotował do druku »Historyją miasta Wilna,« od założenia jego, aż do naszych czasów, któréj tom I. w r. b. wyjdzie z pod prassy. (Przyp. Wizr.)

*) Podług świadectwa i zobowiązania się J. Śniadeckiego w akademii gettyngskiéj, które mam pod ręką, widać, że wpisany został w poczet uczniów uniwersytetu d. 22. października 1778 roku. Świadectwo to jest drukowane, z pieczęcią uniwersytetu i podpisem: Luidera Kulenkampa, prorektora. (Przyp. aut.)

samego, przestając na takiéj opłacie, jakąbym mu wedle możności mojéj złożył, i winienem oddać sprawiedliwość gorliwości i szlachetnemu dla mnie poświeceniu się tego męża. Otworzył mi do użycia wielką swoję matematyczną biblijotekę; dał oprócz tego zaręczenie biblijotece publicznéj na wszystkie dzieła, którychbym ztamtąd do mojéj nauki potrzebował. Skazał mi najlepsze książki; a na objaśnienie i rozwiązanie wątpliwości, którebym znalazł w czytaniu, wyznaczył mi dni i godziny u siebie wieczorne. Rzuciłem się do prywatnego uczenia się i czytania z największym zapałem; na wstepie natrafiłem niezmierne i liczne trudności, męczyłem się czasem aż do płaczu i rozpaczy nad ich pokonaniem; tłumaczenie i objaśnienia profesora nie zawsze mnie mogły zaspokoić. Wszelako postępowałem coraz daléj przy najuporczywszéj pracy, a moje pojęcie zaczęło się coraz bardziéj rozjaśniać. Zatopiłem się naprzód całkiem w dziełach Euler'a, i trudniéjsze jego zadania w rachunku dyfferencyjalnym i integralnym, w mechanice, optyce, przewartowałem, przekomentowałem i przerobiłem; przezco nabyłem wielkiéj wprawy i łatwości w mechanicznym rachunku, i zbogaciłem moję pamięć wzorami fundamentalnémi ledwo nie całéj *analizy*. Wziąłem lekcyją języka angielskiego, żeby się obeznać z dziełami geometrycznémi tego narodu, a osobliwie z pismami Maclauryn'a i Simpson'a. Przykładałem się z wielką usilnością do astronomii przy pomocy Kästnera, i obserwatoryjum tamecznego, wsławionego pracami Tobiasza Mayer'a. Piérwszy raz w Gettyndze widziałem wszystkie doświadczenia Pristlej'a z gazami przez niego odkrytemi, które Lichtenberg, wydawca dzieł Tobiasza Mayer'a, świéżo powróciwszy z Anglii, robił na lekcyi publicznéj i bezpłatnéj. Słyszałem tam uczących sławnych profesorów: Pütter'a i Böhmer'a w prawie; Heyn'a w literaturze greckiéj i łacińskiéj; Michaelis'a dowcipnego oryjentalistę; Schlözer'a w historyi; Feder'a w filozofii; Murray'a w botanice; Blumenbach'a, wtenczas adjunkta w historyi naturalnéj i fizyjologii i t. d. Kurs nauk trwa sześć miesięcy, a wszystko pędziło się jak przez pytel i czerkiesko. Powszechna była metoda, żeby obznajomić uczących się z autorami w każdym rodzaju, przynoszono więc koszami do lektoryjum książki do pokazania ich przy końcu lekcyi audytorom. Jakoż mam bibiljotekę gettyngską za największą pomoc do gruntownéj nauki, jako bogatą w autorów wszystkich prawie narodów. Bez téj pomocy nauka, czerpana z pędzonych nagle lekcyj, byłaby bardzo powierzchowna i płytka. Dwie za moich czasów widziałem w Gettyndze prawdziwie gorszące uczonych kłótnie. Kästner'a z Zimmerman'em, doktorem w Hanowerze i najlepszym podówczas w języku niemieckim pisarzem, który wydał dwa ważne pisma o *doświadczeniu* i *samotności*. Drugą Baldynger'a z Tod'em, medykiem kopenhagskim. Drukowano satyry i paszkwile pełne nieobyczajności i grubijaństwa, które rozrzucano pomiędzy studentów na lekcyje przychodzących. Lekcyje fizyki, historyi naturalnéj, literatury łacińskiéj, na które uczęszczałem, były tylko dla mnie rozrywką. Wziąłem domowego metra na lekcyje architektury militarnéj i inżynieryi; a zatrudniony lekcyjami we dnie, obrałem sobie nocy i wieczory na rysunki fortec, obozów, oblężeń i t. d., co mi stępiło i popsuło wzrok nadzwyczaj bystry. Porzuciłem te roboty, ale już wzroku odzyskać nie mógłem na rzeczy odległe, i przezto na całe życie zrobiłem go sobie krótkim. Ciągła i uporczywa przez 15 miesięcy praca, unikanie wszelkiéj rozrywki i towarzystwa, siedzenie po dniach i nocach nad książką i pisaniem, tak osłabiły moje zdrowie, żem stracił apetyt i sposobność trawienia. Zaczęły mię napastować częste mdłości i uczułem w sobie rosnącą coraz bardziéj do myślenia niesposobność. Opowiedziałem to sławnemu w medycynie praktycznéj profesorowi Baldynger'owi, który wszystko roztrząsnąwszy i dobrze mi się przypatrzywszy, takie wyrzekł zdanie: że nie ma dla mnie innego lekarstwa, tylko żebym natychmiast wszystkie książki i pisma porzucił, wyjechał zaraz z Gettyngi, i w innym kraju przynajmniéj trzy miesiące na saméj zabawie i rozrywce strawił, i że jeźli go w tém nie usłucham, mogę nagle w mdłościach, których doświadczam, skonać. Przeraziło mię to zdanie doktora, i postanowiłem być mu posłusznym. Zapakowałem zaraz wszystkie moje książki i pisma, poruczyłem je kupcowi gettyngskiemu do przesłania do Krakowa, i w najgorszéj porze roku, to jest: w listopadzie 1779, wybrałem się do Holandyi.«

Nim to jednak nastąpiło, Jan Śniadecki, płacąc lekcyje publiczne w Gettyndze i prócz tego bardzo wielkie ponosząc wydatki na prywatnych nauczycieli i na kupno książek, wyczerpnął zupełnie prawie cały swój kapitał, przywieziony z Krakowa. Nie było więc o czém jechać daléj, a tém bardziéj myśléć o Paryżu. Do kogoż zatém właściwiéj wypadało udać się o pomoc, jeźli nie do komisyi edukacyjnéj, jako opiekunki nauk i uczących się w kraju, dla którego młodość i talenta swe poświęcił. Jakoż napisał wtenczas do Warszawy, prosząc komissyi o zasiłek pieniężny do kontynuacyi nauk. Otrzymał z razu Kołłontaj obietnicę od komissyi powiększenia pensyi dla Jana Śniadeckiego i kolegi jego, księdza Trzcińskiego; ale nie wiedzieć dla czego jeden tylko ks. Trzciński korzystał z obietnic, bo Śniadeckiemu prezydujący w komissyi książę Michał

Poniatowski odpowiedział: że chociaż komissyja zna dobrze jego zdatności i przywiązanie do nauk, tak wielkie jednak ma wtym czasie wydatki, że na ten raz żadnego wsparcia zamiarom jego dać nie może! Zmartwiony tak niespodzianém i niesłuszném odmówieniem komisyi, w bardzo przykrém był położeniu, kiedy właśnie w porę przybył na pomoc, gorliwy zawsze, gdzie szło o dobro nauk i uczących się, Kołłontaj. Zacny ten człowiek wyjednał Śniadeckiemu kredyt w domu bankiera krakowskiego Laśkiewicza na 200 dukat., i przysłał na to dwa wexle do Amsterdamu i do Paryża. Nie zapomniał o nim i troskliwy jego opiekun, ks. Żołędziowski, zgorszony nierozważném odmówieniem komissyi. Takim sposobem zasilony przyjacielską uczynnością tych dwóch ludzi, wybrał się Jan Śniadecki, wśród najgorszéj pory roku, przez Westfaliją do Holandyi. Wiózł on ze sobą polecające listy życzliwego dla siebie Kästner'a i sławnego filologa Heyn'a, u którego wielki zjednał dla siebie szacunek płynném mówieniem po łacinie. Jak wszystka młodzież polska, tak i Śniadecki, ten jedyny z nauk szkolnych przed ich reformą, odniósł był pożytek, że się nauczył doskonale języka łacińskiego, i że nie tylko czytał i rozumiał dobrze klasycznych autorów, ale mówił jakby rodowitym językiem. Przybywszy do Gettyngi, nim się nauczył po niemiecku, musiał ze wszystkiemi profesorami rozmawiać po łacinie. Między nimi Heyne, chociaż tak dobrze znał język łaciński, nie łatwo jednak nim mówił i w rozmowach z Śniadeckim nie raz mu się urywało. Żalił się wprawdzie, że nie miał łatwości w wysłowieniu się, nie mniej jednak lubił młodego cudzoziemca, który znał tak wybornie ukochany od niego język i rad był temu, kiedy już w kilka miesięcy potém mógł z nim swobodnie rozmawiać po niemiecku.

Za przyjazdem do Leydy poznał się zaraz Śniadecki z znakomitymi tam ludźmi: Camper'em, anatomikiem; Allman'em, historykiem naturalnym; Van Suimden'em, fizykiem, i Szulc'em, chemikiem, który prześliczną mową łacińską lekcyje swe tłumaczył. Obejrzawszy uniwersytet i niektóre instytuta, założył sobie kwaterę w tém mieście, jakby w środku ogniska, z którego postanowił robić wycieczki do niektórych miejsc w Holandyi. Z Leydy udał się naprzód do Utrechtu w celu poznania się z profesorem matematyki Hennert'em, rodem z Berlina, znanym wówczas powszechnie przez różne swoje dzieła, z którym jako uczonym geometrą wiele czasu przepędził na nauce i rozmowach o naukach dokładnych. Hennert z wielką uprzejmością i gorliwą rozwagą wystawił Śniadeckiemu wierny obraz stanu nauk matematycznych w Europie, poradził mu jakim sposobem ma odbywać nauki w Paryżu, z jakimi ludźmi żyć i z ich wiadomości korzystać, dał nakoniec do przedniéjszych uczonych, z którymi w ścisłych był związkach, adresa i listy. Cały ten czas, przepędzony z Hennert'em w Utrechcie, uważał zawsze Jan Śniadecki jako najpożyteczniéj strawiony w swojéj młodości, bo mu niezmierną korzyść przyniósł z tego względu, że już cały plan nauk w Paryżu wcześnie miał ułożony, a doświadczenie pokazało poźniéj, że ten plan był najlepszy. Haga była drugiém miastem w tym kraju, które chciał poznać Śniadecki. Kiedy tam stanął, powiedziano mu, że wielki pan polski, t. j: hetman Ogiński, bawił w Hadze od dawna i żył tam wspaniale. Jan Śniadecki, który miał sobie za stałe prawidło w towarzystwie znakomitszych ludzi szukać coraz większéj znajomości świata, poszedł odwiedzić hetmana Ogińskiego, zwłaszcza, że był jego współziomkiem. Ogiński byłto człowiek bardzo bogaty, chociaż źle się rządził, szczérze kochający ojczyznę, hojny, a nawet marnotrawny, ale małą miał głowę. Mnóstwo awanturników i oszustów z całéj Europy otaczało go ciągle, obdziérając bez miłosierdzia. Hetman Ogiński przyjął Śniadeckiego z wielką uprzejmością, a dowiedziawszy się zkąd jedzie i w jakim celu mieszkał w Gettyndze i Utrechcie, spytał dokąd się teraz uda? »Jadę do Paryża panie hetmanie,« odpowiedział mu Śniadecki, »doskonalić się więcéj w matematyce i astronomii.« — »A po cóż do Paryża?« zawołał hetman, »przyszedł już czas, w którym nie będą potrzebne takie mozoły. Na nic się to nie zda; ja wćpanu dam takiego człowieka, który go wszystkiego nauczy!« Zadziwiony Śniadecki tak osobliwą propozycyją, pyta się skwapliwie, kto to jest ten uniwersalny człowiek? »Cagliostro,« odpowié hetman. Na odgłos tego nazwiska osłupiał Śniadecki, a po chwili przyszedłszy do siebie, zaledwo się wstrzymał od głośnego śmiéchu. Podziękowawszy zatém hetm. Ogińskiemu za jego dobre chęci, i nie chcąc się daléj rozwodzić nad tém, pożegnał go spiesznie, nie mogąc się dosyć wydziwić łatwowierności swojego spółziomka. Cagliostro niestworzone rzeczy prawił Ogińskiemu, wmawiał mu nawet, że blisko 2,000 lat żyje, że się znał dobrze z Chrystusem Panem, i tym podobne niesłychane dziwolągi!*)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) Toż samo prawił Cagliostro panu Str., siedząc u niego przez czas niejaki w R..... na Litwie w powiecie upitskim, w czasie podróży swej do Mitawy i Petersburga; nie wiém tylko z pewnością, czy mu tak wierzył, jak hetman Ogiński. Różne i nieskończenie były dziwne zdania w Europie o Cagliostr'ze, zdaje się jednak, że niczém innem nie był, tylko zręcznym i przebiegłym szarlatanem. Ale nad tém się najwięcej zastanawiano, z jakiego źródła niewidzialnego pochodziła jego nieustająca zamożność i dostatki. Rozumiano, że go niektóre towarzystwa wspierały tajemnie! (Przyp. aut.)

— Ze Lwowa. —

Literackie wiadomości. Wyszedł z druku *Przyjaciel chrześcijańskiéj prawdy;* czasopismo teologiczne naprzód dla oświecenia i zbudowania kapłanów, a potém katolickich chrześcijan; wydawane w dyjecezyi przemyskiéj; pracy i pióra wezwanych do tego przez ordynaryat kapłanów. Rocznik IV., zeszyt I., w Przemyślu w drukarni biskupiéj ob. gr. kat., 1836; zawiera w sobie: 1) Wykład nauki o Opatrzności boskiéj. Ważność téjže. Co jest opatrzność? Jak wiele poganie już o téj pisali. Na czém zawisła Opatrzność Boga, i jak się widzieć dawa. 2) Rozprawa o postach u katolików, o powstaniu tychže, o zamiarach, jakie ma przy nich religija, o różnych rodzajach postów, o zmianach rozmaitych zaszłych w ustawach co do postów. 3) Jakim sposobem mogą i powinni dusz pasterze przyczyniać się do zaradzenia teraźniejszemu brakowi (niedostatkowi) pracowników w winnicy pańskiéj. 4) Żywot Jakóba Benigna Bossueta, biskupa Meldeńskiego. 5) Kościelne starożytności: O organach; o szanowaniu kościołów; o dawaniu schronienia uciekającym się tamže. O drogich naczyniach kościelnych; o starożytności tychže; o kielichach; o durchszlaczkach (cedzidełkach) i innych naczyniach do krwie pańskiéj. Patyny, wieżyczki, puszki, na ciało pańskie. Ampułki, kadzielnice, łyżki, solniczki i t. d. 6) Literatura: Henr. Klee: Dogmatyka. Binterim: Starożytności kościoła katolickiego (z którego to dzieła obiecuje wydawca Przyjaciela chrześcijańskiéj prawdy umieszczać pożyteczne wyciągi). Psałterz królowéj Małgorzaty, wydany staraniem Stan. hr. na Skrzynnie Dunina-Borkowskiego. 7) Rozmaitości: Wiadomości dotyczące się stanu religii, duchowieństwa, instytutów dobroczynnych w Anglii, przez bar. d'Haussez. 8) Wiadomość o plebanii i kościele parafijalnym w Rzeszowie. 9) Tertulliana Apologietyka, ciąg dalszy. 10) Odezwa pasterska JO. Najpr. księcia Arcybiskupa Praskiego do duchowieństwa swego po objęciu rządów archidyjecezyi (po łacinie i niedokończona. Pomyłki w tym zeszycie znaczniejsze). — *Królodworski rękopis.* Zbiór staroczeskich bohatérskich, lirycznych śpiewów, nalezionych i wydanych przez Wacława Hankę, biblijotekarza król. narod. czes. Muzeum, a z czeskiego na polskie przez Lucyana Siemieńskiego przełożonych. Kraków, w tłoczni D. E. Friedleina, 1836. (Dawno to zupełne i dokładne tłumaczenie Królodworskiego Rękopisu oczekiwane było, i ubogacona nim została teraz literatura polska.) *-l.*

Z Warszawy. Wiadomo, iż sławny nasz artysta muzyczny Karol Lipiński udał się r. 1834 z Warszawy do Gdańska, gdzie małżonka jego używała kąpieli morskich w Sobocie (Zoppot). Pobyt nad morzem Baltyckiém (na które Kopernik i Kant spozierali) natchnął Lipińskiego nowémi pomysłami. Jakož napisał treściwą, nader oryginalną kompozycyją *divertissement* na skrzypce z towarzyszeniem fortepianu: *Souvenir de la mer Baltique.* Kompozycyja ta wyszła teraz w Lipsku z pracowni Petersa, i dedykowana jest doktorowi prawa Ludwikowi Pietrusińskiemu. — Liczbę naszych w muzyce za granicą celujących rodaków powiększył Antoni Orłowski, uczeń warszawskiego konserwatoryjum. Młodzieniec ten liczy zaledwie lat wieku 25. Jest dyrektorem orkiestry w Rouen. By godnie odpowiedzieć temu zaszczytowi Orłowski utworzył muzykę do opery pod tytułem: »Mąż z okoliczności *(Mari de circonstance).*« Do téj poezyi ułożył był już dawniéj muzykę niejaki pan Plantade, lecz ta źle przyjęta została. Młody nasz wirtuoz szczęśliwie rozpoczął swój kompozytorski zawód. Publiczność jego dzieło okryła oklaskami. Pięć pism publicznych w ogóle jednomyślnie ją chwalą. Łatwość, wdzięk, świeżość, jędrność, te są wyrazy, których pisma pomienione używają, określając zalety téj kompozycyi. (D. P.)

Żarłoctwo Mikołaja Reja. »Ów polski poeta z czasów Zygmuntowskich, Rej stary, sam rad dobrze pił i jadał; tegom ja dobrze znał (mówi Wereszczyński, opat sieciechowski), bo często u podsędka chełmskiego, ojca mojego, dla używania myśliwstwa bywał. Albowiem zawždy, kiedy przyjechał, pudło śliw, jak korzec krakowski, miodu praśnego pół rączki, ogórków surowych wielkie niecółki, grochu w strączkach cztery magierki, na każdy dzień na czczo zawżdy to zjadał. A potém z chlebem garniec mléka zjadłszy, jabłek z kopę, a pół tryfusa gniłek (ulęgałek) zjadłszy, do tego sztukę mięsa, kilku półmiskom zmiotłszy czuprynę, kapuście kwaśnéj potém dorobił, mało już o żabki włoskie dbając. Potém gdy do ugaszania pragnienia przyszło, gdybym o tém pisał széroko, byłoby nie jedno dziwo. Bo jako rad jadał potrawy trefne, także też rzadko pijał piwo dobre, jedno gorzkie, kwaśne, na ostatek i mętne, a gdy trafił do kogo na łotrowskie piwo, to pił, aż mu w karku trzeszczało, a jeszcze sobie ust nie utarł, a przedsię wołał, aby mu pełną inną nalano, i inszych napominał, aby też spełnili, pana gospodarza nie przepomniano; to ono piwsko znowu przed gośćmi i przed gospodarzem wychwalał, i aż do nieba wynosił, i nie wyjechał z tego domu, aż wypił z gośćmi i gospodarzem wszystko, acz to było gościom, a najwięcéj panu gospodorzowi brzyko. Acz tego nie wiem, jeźli gdzie indziéj w pomiernym życiu się kochał, ale w ziemi chełmskiéj wiele jadał i pijał.«

Raki. Chociaż w sąsiednych Sławianom Niemcach używano od dawna za pokarm raków, przecież Sławianie długo się niemi brzydzili. W 15tym wieku w Morawie, między Hanakami, gdy głód okropny zaczął grasować i wiele ludzi wymarło, wdowa uboga, przezwana poźniéj Raczynka, z siedmiorgiem dzieci, przezwyciężywszy wstręt i obrzydzenie, poczęła gotować raki i niémi żywić siebie i liczną dziatwę. W téj wsi, gdzie zamieszkiwała, sama prawie utrzymała się przy życiu, okoliczni mieszkańcy uznali ją za czarownicę i oskarżyli o czary. Ctibor Towaczowski z Cymburgu, wyznaczony do sądu, kazał winnéj się stawić, i stos przygotować. Wdowa stanęła, i na zarzuty, zkąd mogła wziąć żywności wśród powszechnego głodu, pokazała gotowane raki, które ją z rodziną od śmierci zachowały. Na rozkaz Ctibora, w obliczu zgromadzonego ludu, zjadła raki, dzieląc je pomiędzy dziatwę, a roztropny sędzia uwolnił ją nie tylko od oskarżenia, ale i od kary — odtąd powoli zaczął znikać wstręt Morawców od raków, w których poczęli smakować. Od Morawian przejęli je do potraw swoich i inne pokolenia sławiańskie.

Korale. Wiele kobiét, strojących się w korale, mniema, że to jest rodzaj czerwonego kamienia, znajdującego się w morzu, równie i ci się mylą, co w gabinetach naturalnych, postrzegłszy gałąź koralową, poczytują je za roślinę. Koral bowiem, póki tylko zostaje w morzu jest miękki i ruchomy; badacz przyrody Peyssonett uznał go za żyjące zwiérzę, i postrzeżenia swoje światu ogłosił. Najpiękniejsze korale, ognistéj barwy, poławiają się na pobrzeżu Sycyliańskiém. Afrykańskie już nie są tak świetnéj barwy. Poławiający, miejsce w którém łowią, podzielili na 10 obwodów, i tylko co lat 10 połów na każdy obwód przypada. Najwięcéj korali rozchodzi się na Wschód. Genua wielki prowadzi niémi handel. Jeżeli są pięknie szlufowane cena ich bywa wysoka. Głębokość, w jakiéj się znajdują, bywa od 10 do 750 stóp pod powierzchnią wody.

Przemysł i odkrycia w Anglii. Wszystkie wielkie pomysły, które przez matematyczne kombinacyje techniczną misterność i mechaniczną siłę zdziałanémi być mogą, wykonywają się teraz w Anglii. Dach wynalezienia żadnych tu granic nie ma, albowiem pieniądze i siły przedsiębiercze zawsze tam wystarczą na przywiedzenie

każdéj idei do życia. Sławny ów wynalazek rur hermetycznie zamkniętych i nadzianych powietrzem, które do koła otaczając okręt, zabezpieczają go od zatonienia, nawet kiedy się cały napełni wodą, doświadczany został na wielu okrętach w porcie Portsmouth, i najlepszych skutków kazał się spodziewać. Wspomniawszy na to, że co roku najmniéj 500 okrętów tonie, wynalazek ten największą przyniesie przysługę żegludze. Para, zastosowana do wszystkich gałęzi mechaniki, niezawodną zrządzi odmianę w toczeniu wojny, albowiem doświadczenia, czynione tu z parowém działem Perkins'a, które 25,000 kul wyrzucić może w godzinie, przekonywają dowodnie, że wojny nadal inaczéj prowadzonémi będą. Rząd angielski proteguje także pewnego bawarskiego oficéra, znajdującego się w Anglii, który wynalazł siłę poruszalną, dzielniéjszą od pary wodnéj.

Handel na dziéwczęta w Chinach. Magnaci chińscy, oprócz prawéj swojéj żony, utrzymywać zwykli znaczną liczbę kochanek; dostarczenie tych piękności pałacom bogaczów tworzy osobną gałąź handlu, którego głównym siedliskiem jest miasto Su-czu-fu. Handlujący dziéwczętami przejeżdżają się po całym kraju i skupują małe dziéwczęta, obiecującéj piękności. Wychowując je nadają ich nogom i całemu ciału kształt najulubieńszy, uczą muzyki, robót i różnych sztuk, służących do zabawy; przezco towar ich podnosi się do wartości 900 lub 1200 dukatów.

Elektryczność. Dzień. londyński *Globe* mówi: Przez elektryczność można w kilku minutach przyspieszyć wschodzenie i wzrost rzerzuchy; przez nią w kilka godzinach można jaja wylęgać; wodę deszczową, bardzo czystą, w godzinę milijonami zwierzątek zaludnić; rozłożyć ją na pierwiastki, i znowu do pierwszego przyprowadzić stanu; platynę, najmniéj topliwą ze wszystkich kruszców, w jedném oka mgnieniu za pomocą bateryi elektrycznéj stopić.

Rzeczywistość téj prawdy: że piękność jest względną, potwierdza się jeszcze natchnioném wyznaniem pewnego japońskiego poety, który sławiąc swoję kochankę, tak opisuje jéj wdzięki: »Oblicze jéj jaśnieje jak księżyc w pełni, brwi ma podobne do liścia drzewa *imbo,* zęby jéj czarne, ramiona jak dwa łuki, a palce jak leśna tarnina, płeć jéj połyskającéj jest żółtości, nogę ma płaską i szeroką, a chód słonia.« Po takim obrazie zapewne żaden z elegantów europejskich, nie będzie zazdrościł azyjatyckiemu poecie jego bożyszcza.

W Moskwie otwarto sklep nowego wcale rodzaju, gdzie nic nie nabywa się przez kupno, lecz przez zamianę, zacząwszy od cygarów, skończywszy na najkosztowniéjszych klejnotach. Jeżeli kto coś przynosi do zamiany, wchodzi do pięknie przystrojonéj sali, gdzie się znajdują ludzie szacujący rzecz każdą; po ocenieniu takowéj, wchodzi się do składu, zaopatrzonego we wszystko z największym przepychem. Każden przedmiot ma stałą cenę; przynoszący rzecz jakąś, mienia ją za inną w odpowiedniéj cenie. Jeżeli wartość zamienionego towaru jest większą od rzeczy przyniesionéj, przewyżkę dopłacić potrzeba gotówką.

W roku przeszłym zaszczepiono w Rossyi przeszło 95,000 nowych drzew morwowych. Jedwabiu otrzymano 264 pudów. — Uprawa wina przyniosła w ogóle 1,661,209 wiader. W samym Krymie zasadzono teraz więcéj niż 600 rodzajów winnych latorośli, w liczbie których znajdują się reńskie, francuzkie i greckie.

Bardzo interesujące dzieło polskiego jenerała hrabi Romana Sołtyka, pod tytułem: »*Napoleon en 1812,*« wyszło nie dawno z druku. Czytelnik znajdzie tam bardzo pilne i wierne skreślenie wypadków owéj sławnéj wyprawy, od przejścia przez Niemen aż do odjazdu Napoleona do Paryża. Wiele znanych zdarzeń wykrytych jest z innego stanowiska. Autor, ktory często miewał sposobność zbliżania się do Napoleona, przytacza mnóstwo nieznanych anegdot i rysów, które ku dopełnieniu dawniéjszych obrazów posłużyć mogą.

Chateaubriand w dziele swojém: *Essai sur la litterature anglaise,* mówi między innémi o Napoleonie: »Zrodzony na wyspie, aby na wyspie umrzéć; na pograniczu trzech lądow w śród morza rzucony, gdzie Kamoens, niby go przewidując, jeniusza burz osadził, nie mógł Bonaparte ruszyć się na swéj skale, aby nas o tem wstrząśnieniu nie ostrzegł; krok tego nowego Adamasta, skierowany ku jednemu biegunowi, dałby się uczuć w biegunie przeciwległym. Sama jego przytomność na brzegach Atlantyckich w Ameryce, zmusiłaby Europę do koczowania na brzegach przeciwnych. Samotność wygnania i grobu Napoleona rozléwa na świetne przypomnienie jego czynów nowy rodzaj uroku. Alexander nie umarł w oczach Grecyi, lecz w głębi przepychu Babilonu. Bonaparte nie umarł w oczach Francyi, lecz zgubił się w spaniałym widokręgu stref gorących. Człowiek tak potężnéj rzeczywistości znikuął jak sen; życie jego, należące dziejom, rozpłynęło się w poezyi jego śmierci. Zasypia wieczyście, jak pustelnik, lub paria pod cieniem wierzby, w ciasnéj, stroméni skałami otoczonéj dolinie, u końca niedeptanéj ścieżki. Wielkość otaczającéj go ciszy, wyrównywa wielkości wrzawy, która go otaczała. Nié masz tam narodów, tłum ich się oddalił. Ptak ciepłych krajów zaprzężony do wozu słońca, pada (jak mówi Buffon) z promiennéj gwiazdy i spoczywa przez chwilę na popiołach, pod których ciężarem ziemia się chwiała. Losowi Napoleona nie brakowało żadnéj gwiazdy; połowe widokręgu oświecała jego kolebka, dla drugiéj połowy było zostawione, aby przyświécał gròb jego.

Hugonoci Mayerbeera ciągle przynoszą wielkiéj operze paryzkiéj 9 do 10,000 frank. za każdém przedstawieniem. Bez wątpienia, że Hugonoci przewyższyły w powodzeniu Roberta djabła.

Francuzkie porty napełnione są wychodzcami, którzy do Algieru, w celu osiedlenia się, mają odpłynąć. Jeżeli ta emigracyja potrwa, natenczas, zdaniem wielu dzienników, w przeciągu jednego roku najmniéj 50,000 obcych kolonistów osiędzie w Algierze. Lecz czyli ich chimeryczne nadzieje szczęścia urzeczywiszczone będą, rzeczto bardzo wątpliwa.

Jakżeby ucieszyły się nasze prababki (mówi pewien dziennik), gdyby powstawszy z grobu, ujrzały wnuczki swoje z długiémi mankietami, szérokiemi falbanami, przy wachlarzach, w czarnych mantylach!... Niedostaje im jeszcze trzewików na korkach, pudru i muszek, a stałyby się ze wszystkiem do prababek podobne.

Żyjemy w czasach odgrzewanych; — to jest: wszystko co dawne, staje się dziś modą. I tak: wachlarze pojawiły się znowu, nieustępujące staroświeckim, ani w objętości, ani w ozdobach; pojawiły się, lecz nie tylko na balach, gdzie ciągle bywały w modzie, ale nawet w negliżach, na przechadzkach. Kobiety poznały się jak korzystny wpływ wywiera ta czarowna zabawka, tyle sprzyjająca kokieteryi i zalotnictwu; wachlarz sprawia połowę tego uroku, jaki hiszpańskim przyznawamy kobiétom. Pani Sevigné rzekła, mówiąc o pewnéj damie na dworze Ludwika XIV.: »Ona podbiła serce królewskie wachlarzem!« A Ludwik XVIII. na wachlarzu, który delfince posłał, następujące wierszyki napisał:

Kiedy niebiosa ogniami zapłoną,
A tęskne myśli w sercu się rozniecą;
Roje zefirów sproszę na twe łono,
Miłostki same przylecą.

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.